

SOLIDARNOŚĆ W PODZIEMIU

BARDZO DŁUGI SPACER Z PSEM

WIKTOR KULERSKI

ur. 1935 r., w latach 1960–1981 nauczyciel biologii i historii w szkole podstawowej w Międzyzlesiu. Współpracownik Komitetu Obrony Robotników, od 1977 r. zbierał pieniądze na pomoc dla represjonowanych, kolportował wydawnictwa niezależne. W październiku 1980 r. został wiceprzewodniczącym NSZZ Solidarność w Regionie Mazowsze. 13 XII 1981 r. uniknął internowania. Ukrywał się, 8 V 1981 r. wraz ze Zbigniewem Bujakiem, Zbigniewem Janasem i Zbigniewem Romaszewskim utworzył podziemną Regionalną Komisję Wykonawczą NSZZ Solidarność Mazowsze. Uczestniczył w tworzeniu niezależnych struktur oświaty, kultury i nauki. Od 1983 r. współpracownik Komitetu Helsińskiego w Polsce, od 1986 r. członek Rady Funduszu Wydawnictw Niezależnych. W latach 1989–1991 poseł Obywatelskiego Klubu Parlamentarnego, wiceminister edukacji narodowej. 1989–1999 prezes zarządu fundacji Edukacja dla Demokracji. Od 1999 r. współpracuje z miesięcznikiem „Nowa Polska”.

12 grudnia 1981 r. otrzymałem informację, że wojska, które wyruszyły z baz, przesuwały się w kierunku Warszawy. Kino obok naszego biura Zarządu Regionu Mazowsze NSZZ Solidarność zajęło dwustu milicjantów z jednostek zmotoryzowanych. Napisałem list do prymasa, poprosiłem jednego z pracowników o dostarczenie pisma do rąk jego osobistego sekretarza. Zadzwoiłem do Zbigniewa Bujaka, który uczestniczył w posiedzeniu Komisji Krajowej NSZZ Solidarność w Gdańsku, i przedstawiłem mu aktualną sytuację.

Bujak później opowiadał: „O godzinie 10 wieczorem Wiktor zadzwonił do mnie na »krajówkę«, mówiąc, że robi się chyba gorąco, bo zerwane są połączenia teleksowe, a przy tym nadchodzą dziwne informacje o koncentracji wojska i milicji. Potem słuchawkę przejął od niego człowiek odpowiedzialny w naszym regionie za zbieranie i analizowanie wszelkich informacji dotyczących podejrzanych posunięć formacji zmilitaryzowanych [Marek Nowicki – W.K.]. No i ten..., na którego potem byłem najbardziej wpieniony, powiedział mi: wszystko w porządku, to są normalne jesienne przegrupowania wojsk, nie ma się czego obawiać, możecie siedzieć spokojnie. A to było na kilka godzin przed...”¹.

Postanowiłem wrócić do domu, wykąpać się i przebrać w czyste rzeczy, jako że od kilku dni pełniłem całonocne dyżury w siedzibie Zarządu Regionu. Wsiadłem do autobusu i pojechałem do Międzyzlesia. Na miejscu pomyślałem, że warto zadzwonić do biura, by sprawdzić, czy nie ma nowych wiadomości. Na poczcie przekonałem się, że nie działają telefony publiczne. Funkcjonujący aparat znalazłem dopiero w izbie przyjęć miejscowego szpitala. Sekretarka z biura powiedziała:

– Jak dotąd jest spokój... Ale poczekaj! Coś się dzieje.

Usłyszałem ją po krótkiej pauzie:

– Nie działa już żaden teleks!

Poprosiłem o przysłanie pod mój dom taksówki. Następnie zadzwoniłem do ojca z informacją, że w biurze Regionu Mazowsze odcięto wszystkie teleksy.

¹ M. Łopiński, M. Moskit [Z. Gach], M. Wilk, *Konspira. Rzecz o podziemnej Solidarności*, Warszawa 1984, s. 6 (red.).

Ojciec powiedział: – To znaczy, że się zaczyna. Niech Bóg ma cię w swojej opiece.

Teleks został odczyty około 23.25, telefony niecałe pół godziny później. Gdy dotarłem do domu, taksówka już czekała. Chciałem wrócić do biura Zarządu Regionu. Miałem tylko czas na pożegnanie się z żoną. Była bardzo zdenerwowana. Powiedziałem, że muszę pojechać do biura. Nie wiedziałem, kiedy wrócę. Myślałem – czy będą rozwalać od razu? Jeśli tak, to nie potrzebuję czystej bielizny ani ciepłych butów. Ale jak wywózka, to jednak warto się ciepło ubrać. Postanowiłem założyć ciepłą bieliznę i nowe zimowe buty. Parę dni wcześniej brat przywiózł je dla mnie z Danii.

Pożegnałem się więc z żoną i wyszedłem, nie dzieląc się z nią obawami. Ledwo ruszyliśmy, po drodze minęliśmy dwa milicyjne wozy jadące w kierunku mojego domu. Dowiedziałem się później, że wtargnęli do mieszkania, używając łomu. Szukali mnie w szafie i w piwnicy.

W Warszawie dojazd do biura Regionu Mazowsze zablokował kordon ZOMO. Szukaliśmy bocznej uliczki, w której można by zaparkować. Nasz kolejny przejazd wzbudził zainteresowanie milicji. Jeden z milicjantów wysunął się i podniósł rękę, by nas zatrzymać.

– Jedź! – wrzasnąłem do taksówkarza.

Funkcjonariusz, który chciał nas zatrzymać, odskoczył w ostatniej sekundzie.

– Dokąd teraz? – spytał kierowca z desperacją w głosie.

Trudno było mi się skoncentrować, jednakże po chwili zdecydowałem:

– Do Ursusa.

Wtem przez radio usłyszeliśmy komunikat dla taksówkarzy, by natychmiast wracali do bazy. Poznałem głos. To był Dominik Tyburski, przewodniczący warszawskiego związku taksówkarzy, członek Zarządu Regionu Mazowsze.

Na miejscu uzyskałem pełny obraz sytuacji. Radiooperatorzy w dyspozytorni otrzymywali meldunki od kierowców z całej Warszawy. W mieście było mnóstwo milicji. Funkcjonariusze włamywali

się do prywatnych mieszkań i wywozili ludzi furgonetkami. Wielu zabrano w pidżamach.

W pewnej chwili do pomieszczenia przyprawiono dziesięcioletniego chłopca. Był cały czerwony, nie mógł złapać oddechu.

– Przyszli po mojego tatę, wyważyli drzwi! Mama kazała mi tu przybiec i powiedzieć – wykrzyczał.

Jego ojciec był członkiem Zarządu Regionu Mazowsze. Operator skontaktował się z nim przez radio i ostrzegł go przed niebezpieczeństwem.

Rankiem 13 grudnia poinformowano nas, że komisarz wojskowy jest w drodze do bazy. Nie wiedzieliśmy, gdzie pójść. Jedna z operatorek rzucił nam klucze do swojego mieszkania. Podziękowałem kierowcy, który tak wiele dla mnie ryzykował. Poprosiłem go o przekazanie mojemu ojcu, że jestem bezpieczny.

W ciągu dnia milicję stopniowo zastąpiło wojsko w czołgach i samochodach pancernych. Obstawiono główne ulice, place, ronda, fabryki i budynki państwowe. Widziałem żołnierzy próbujących w bramach osłonić się przed wiatrem, zimnem i śniegiem.

Mieszkanko było maleńkie, jednopokojowe. Zażeliśmy z Dominikiem Tyburskim jedyne posłanie. Jerzy Fajkowski, kierowca z biura regionu, nie chciał się położyć, krążył nerwowo, okropnie przeklinając. Żaden z nas nie mógł zasnąć. Zszokowanego Fajkowskiego trudno było uspokoić. Późnym wieczorem wróciła operatorka. Przekazała nowinę – rząd wprowadził stan wojenny. Przyniosła też jakiś list na bibułce, ale nie byliśmy w stanie go odczytać. Schowaliśmy go w drzwiach szafy. Wczesnym rankiem taksówka z najbardziej doświadczonym kierowcą zabrała nas na poszukiwanie tych kolegów, którzy uniknęli aresztowania. Tej pierwszej nocy stanu wojennego ochroniła mnie wspaniałomyślność wielu ludzi i szczęśliwe zrządzenie losu.

Na wstępie zdecydowałem się odwiedzić Ewę Milewicz – była członkinią Komitetu Obrony Robotników i dziennikarkę pracującą dla Regionu

Mazowsze. Kiedy mnie zobaczyła, zbladła jak ściana. Wyszepiała:

– Przed chwilą była tu milicja. Zabrali wszystkich. Za jakiś czas na pewno wrócą, by zgarnąć nowo przybyłych.

Natychmiast wróciłem do auta i poprosiłem kierowcę, by jechał do Huty Warszawa. Ulice były oblodzone, utknęliśmy za wlokącym się autobusem. W pobliżu huty stał milicyjny kordon. Zatrzymaliśmy się, obserwowaliśmy przejazd autobusu przez punkt kontrolny. Kiedy chcieliśmy zawrócić, tylne koła samochodu ugrzęzły w oblodzonej dziurze. Nasze kłopotliwe położenie przyciągnęło uwagę milicjantów. Zauważyła nas także grupa robotników, którzy uprzedzając milicję, pospieszyli nam z pomocą. Mundurowi zbliżyli się do nas uzbrojeni w kałasznikowy. Robotnicy podnieśli tył samochodu i wyciągnęli go z dziury. Kierowca tak gwałtownie przyspieszył, że kilku milicjantów upadło, upuszczając karabiny. Któryś wystrzelił. Na szczęście nikt nie został ranny, ale kiedy odjeżdżaliśmy, jeden z milicjantów kurczowo chwycił klamkę samochodu. Kierowca szarpnął kierownicą. Byliśmy wolni.

– Dokąd teraz? – zapytał.

Naszym następnym celem była fabryka traktorów w Ursusie. Po drodze natknęliśmy się na kolejną blokadę. Zatrzymano nas, poproszono o dowody tożsamości. Milicjanci dokładnie przejrzeni dokumenty moich trzech kolegów i sprawdzili, czy ich nazwiska figurują na liście poszukiwanych. Nikogo nie znaleźli. Sądzę, że byli zaskoczeni, ponieważ wszyscy trzej byli kierowcami. Jeden z oficerów zapytał, czy wszyscy jesteśmy taksówkarzami. Dominik szybko odpowiedział: – Tak, panie władzo – i wyjaśnił, że jedziemy prosto z pracy na wesele kolegi. Milicjant rzucił te trzy

dowody osobiste, już nie żądając czwartego ode mnie, i pozwolił jechać. Miałem szczęście, że nie sprawdził mojego nazwiska.

Nieopodal wejścia do fabryki parkował radiowóz. Przy fabrycznej bramie wyskoczyłem z samochodu i podszedłem do strażniczki. Cichym głosem wyjaśniłem:

– Jestem wiceprzewodniczącym Regionu Mazowsze. Muszę dostać się do fabryki i rozmawiać z Komisją Zakładową Solidarności. Błagam panią o pomoc.

Na dowód, że nie kłamię, pokazałem legitymację członkowską, tak by nie widzieli jej pozostali strażnicy. Spojrzała mi prosto w oczy i zdecydowała:

– Szybko! Do środka!

Większość pracowników była bardzo spokojna. Zaprowadzono mnie na miejsce spotkań komisji. Był tam również Jan Józef Lipski. – Skąd się tu wzięłeś? – zapytałem. On uściśkał mnie i ciepło powiedział:

– Ja potrafię tylko pisać, a teraz moje miejsce jest tutaj, wśród robotników.

– Ale ja, Janie Józefie, co ja mam zrobić?

– Wkroczą tu i szybko nas pokonają. Jeśli sądzisz, że wszystko stracone, możesz z nami zostać, lecz jeśli uważasz inaczej, powinieneś stąd odejść, i to jak najszybciej.

Uściśnęliśmy się bez słowa.

Między budynkami spotkałem Arka Czerwieńskiego. Wiedział skądś, że milicja i wojsko są już w drodze do fabryki. Wyprowadził mnie przez tajne przejście – robotnicy przemycali tędy wódkę i skradzione części maszyn. Kilka godzin później został aresztowany; znalazł się w więzieniu, gdzieś w zachodnio-południowej Polsce. Spędził tam półtora roku².

² Strajk w Zakładach Mechanicznych Ursus został rozbity w nocy z 14 na 15 XII 1981. Za kierowanie strajkiem zostali skazani m.in. Jerzy Kaniewski na 3,5 roku więzienia, Arkadiusz Czerwiński i Witold Kaszuba na 3 lata. Przed sądem stanął też Jan Józef Lipski, ze względu na stan zdrowia został jednak wyłączony z procesu, a po kilku miesiącach wypuszczony z aresztu. W czerwcu 1982 za zgodą władz wyjechał na leczenie do Wielkiej Brytanii. Po powrocie został aresztowany 16 IX 1982, uwolniony 22 XII tr. (T. Ruzikowski, *Stan wojenny w Warszawie i województwie stołecznym 1981–1983*, Warszawa 2009, s. 297–298) (red.).

Arek przekazał mnie jakiejś wspaniałej, młodej dziewczynie z długimi jasnoblonde włosami i niebieskimi oczami, która zaoferowała mi kryjówkę. Ze względów bezpieczeństwa nie podała jej lokalizacji. Tam spotkałem Edwarda Wieczorka. Skontaktowała mnie także ze Zbyszkiem Janasem, któremu udało się wymknąć z Gdańska. Z Czerwieńskimi i Janasem – moimi byłymi uczniami – zetknąłem się podczas tworzenia Solidarności; teraz nasze drogi zeszyły się po raz trzeci.

Dowiedziałem się od Janasa, że Bujak znalazł schronienie w jednym z gdańskich klasztorów, a ci spośród członków Solidarności, którzy uniknęli aresztowań, nadal wypełniali swoje obowiązki. Postanowiliśmy napisać deklarację. Datowana na 16 grudnia 1981 r. głosiła: „W obecnej chwili nie mamy wielu możliwości [...] Będziemy działać na rzecz uwięzionych [...] walcząc o ich uwolnienie [...] Występujemy przeciwko fizycznej przemocy. [...] Jesteśmy zobowiązani pomóc tym, których bliscy zostali zwolnieni z pracy lub osadzeni w więzieniach, przez co pozbawiono ich środków do życia. Ofiarujemy nasze wsparcie rodzinom, które tego potrzebują [...] Władze związku czekają na waszą pomoc. Liczymy na wasze zaangażowanie. To przesłanie niosą do was prawdopodobnie ostatni członkowie władz związku, którzy uciekli z łapanek i nadal przebywają na wolności”. Podpisaliśmy dokument naszymi nazwiskami; chcieliśmy go uwiarygodnić. Mieliliśmy nadzieję, że podniesie ludzi na duchu.

Następnego dnia dzięki jednej z zachodnich radiostacji słuchacze w Polsce poznali naszą deklarację. Wkrótce opublikowano ją w podziemnych biuletynach³. Po kilku dniach nasi anonimowi opiekunowie związkowi podjęli decyzję o wywiezieniu mnie i Janasa z miasta. Znaleźliśmy schronienie we wsi Gołąbki pod Warszawą, na tamtejszej plebanii. Ksiądz Józef Zawitkowski (od 1992 r. biskup pomocniczy diecezji łowickiej) powitał nas w jakimś zupełnie innym, prawie nierealnym świe-

cie. Na jego pełnej spokoju, rozświetlonej plebanii odzyskiwaliśmy dystans do tego, co się działo na zewnątrz, o czym zresztą co jakiś czas przypominał przetaczający się za oknem czołg. Krystalizowały się nasze plany. Ksiądz Józef, z zamiłowania poeta, miał wspaniałą bibliotekę i złote serce. Nie skąpił nam swojego czasu ani... radia, dzięki czemu mieliśmy bieżące informacje z radiostacji zachodnich.

Noce spędziliśmy z Janasem w podziemiach kościoła, niczym szczury. Kilka dni później miejscowy milicjant ostrzegł księdza, że ktoś doniósł o miejscu naszego pobytu. Przed wyjazdem oddałem zakonnicom swoje dokumenty Solidarności z prośbą o ich ukrycie. Pełne strachu, przekazywały je później jedna drugiej, aż w końcu spaliły.

Opuściliśmy stosunkowo spokojną plebanię i wyruszyliśmy w mroźną noc do nowego schroniska. Śnieg na polach sięgał nam za kolana. Nasz przewodnik, starszy człowiek, chciał ominąć uczęszczane drogi i wioski. Z trudnością pokonywaliśmy głębokie zasy, kryjące bruzdy pozostałe po jesiennej orce. Co piętnaście minut zmienialiśmy się z Janasem miejscami w szeregu, kolejno przecierając szlak. Po pewnym czasie musieliśmy przekroczyć szosę, kiedy nagle zajaśniały samochodowe reflektory. Padliśmy w śnieg. Przed nami zatrzymał się sznur ciężarówek, wysypali się z nich żołnierze. Byli tak blisko, że słyszeliśmy ich rozmowy. Bałem się, że za chwilę rozpoczną poszukiwania. Z ulgą zobaczyliśmy, że stanęli wzdłuż pobocza i zaczęli sikać. Dziękowaliśmy Bogu za głęboki śnieg i słabą widoczność.

Parę godzin po północy dotarliśmy do położonej na peryferiach Babic ustronnej kryjówki, otoczonej wysokimi krzewami. Nowo zbudowany, jeszcze nieotynkowany dom był prymitywny, z jednym pokojem ogrzewanym małym piecykiem na koks. Na wyposażenie składały się dwa łóżka polowe i wiadro z zamrożoną wodą. Brakowało nam radia. Rankiem nasz leciwy przewodnik przyniósł

³ Fragmenty oświadczenia Janasa i Kulerskiego wydrukowano w piśmie „Fakty” nr 1 w styczniu 1982 (*ibidem*, s. 180) (red.).

jedzenie. Trzeciego dnia zaświeciło słońce, zrobiło się odrobinę cieplej i Janas podjął decyzję o powrocie do Warszawy. Zostałem sam.

Następnego wieczoru musiałem przenieść się do jeszcze mniejszego i zimniejszego pomieszczenia na piętrze. Zbliżało się Boże Narodzenie i rolnicy przygotowywali wieprzowinę dla jakiegoś wpływowego członka partii, który zresztą przyjechał im pomagać. Pracowali nocą; ubili świnie i w piwnicy dzielili mięso. Ubój był nielegalny. Prawo zobowiązywało rolników do sprzedaży żywca państwu; w 1981 r. większość sklepów w Polsce świeciła pustymi półkami. Rozbawiło mnie, że razem z partyjnym oficjalem w jednym budynku ukrywamy się przed milicją, choć on nawet o tym nie wie.

Musiałem siedzieć za drzwiami – na wypadek, gdyby ów partyjniak lub wspólnik gospodarza zajrzał do pokoju. W pomieszczeniu otwór okna był zabity deskami. Aby mnie odkryć, należałoby zajrzeć za drzwi, co wydawało się mało prawdopodobne. Miałem się nie ruszać.

Rozumiałem obawy rolnika, ale nie jestem pewien, czy on rozumiał moje. Oni mieli światło, ciepły piecyk, gorącą herbatę, jedzenie, wódkę i zajęcie. Ja siedziałem beczynn timer na krześle w wyziębionym pokoju jak w lodówce. Ale, jak sądzę, było to zgodne z doktryną Lenina: „Kto nie pracuje, ten nie je”. To była jedna z najdłuższych i najzimniejszych nocy w moim życiu. Doceniłem pokój, z którego uciekł Janas.

Na szczęście po paru dniach wróciłem na plebanie w Gołąbkach. Ksiądz Józef czekał na mnie w drzwiach, dał gorącą herbatę, dwie aspiryny i pokazał drogę do łóżka. Spałem do kolacji. Nasz posiłek przerwało wejście kolejarza. Jak się okazało, był to Bujak – w kolejarzskim mundurze, miał małe wąsy, brodę i okulary. Wyglądał jak socjalista na rycinie z początku stulecia. Ksiądz Józef otworzył butelkę wina.

Ucieczka Bujaka w przebraniu kolejarza odbiła się głośnym echem w początkującym podziemiu.

Konieczna była zmiana wizerunku. Otrzymaliśmy od księdza dwie torby pełne używanych ubrań. Przyniósł je z Prymasowskiego Komitetu Pomocy Osobom Pozbawionym Wolności i ich Rodzinom, rozdzielającego dary otrzymane z Zachodu.

Do tej pory nosiłem ciepłe swetry i krótkie włosy, nie dbałem o wytworny wygląd. W stanie wojennym zapuściłem włosy i wąsy, nałożyłem okulary. Zacząłem ubierać się elegancko, toteż Michael Kaufman z „The New York Times” w swojej książce z 1989 r. opisał mnie jako „zadbanego, drobiazgowego mężczyznę, który zawsze nosi krawat i marynarkę”⁴.

Bujak wybrał dla siebie znoszoną i wybrudzoną żołnierską kurtkę z drelichu, ale ja zaprotestowałem. Zezłościł się na mnie i powiedział, że pewnie nie chcę go oglądać jako prostego robotnika. Nie zdawałem sobie sprawy z jego kompleksu. Odpowiedziałem:

– Tak, nie chcę, ponieważ Służba Bezpieczeństwa szuka Bujaka – byłego komandosa i robotnika z Ursusa. Nie szukają Bujaka – intelektualisty w krawacie i płaszczu!

Nic nie odpowiedział, ale zmienił decyzję.

Przebrani przenieśliśmy się do gustownie urządzonego domu z okazałym ogrodem. Jego właścicielem był emerytowany pracownik Ursusa – Stefan Brutman, Żyd, który cudem uniknął Zagłady. Teraz on udzielał schronienia. Jego wspaniała żona otoczyła nas subtelną troską. Nie zobaczyliśmy jej ani razu, ale mieliśmy wszystko, czego potrzebowaliśmy. Niestety, kilka dni przed Bożym Narodzeniem musieliśmy ich opuścić. Na święta przyjeżdżała rodzina. Czekala nas podróż do nowej kryjówki. Za przewodnika służyła nam rumiana blondynka. Przed wyjściem otrzymaliśmy instrukcję:

– Idźcie za mną w odległości 30–50 metrów. Jest ciepło, jeśli ściągnę czapkę, będzie to sygnał, że macie zawrócić. W takim wypadku przyjdę po was później.

⁴ M. Kaufman, *Mad Dreams, Saring Graces. Poland: A Nation in Conspiracy*, New York 1989 (red.).

Byliśmy zaskoczeni jej świetnie przemyślanym planem. Intrygowało nas jej doświadczenie i wykszolenie. Wzbudzała szacunek. Przyszliśmy do samotnego gospodarstwa. To był dom jej rodziców. Dnie spędzaliśmy w jadalni, noce – w znajdującej się obok starej, drewnianej chatce zamieszkiwanej przez babcię. Mąż gospodyni był robotnikiem budowlanym. Rzadko go widywaliśmy. Zazwyczaj był pijany i agresywny, nie opuszczaliśmy wówczas naszego drewnianego schronienia.

Dużo dyskutowaliśmy, omawialiśmy z Bujakiem sytuację. Do tej pory Bujak wierzył w siłę związku. Uważał, że wrogość komunistów zmobilizuje robotników do większego zaangażowania i wzmocni ich opór. Nie podzielałem jego wiary. Dla Bujaka narzucenie stanu wojennego było porażką Solidarności. Moim zdaniem 13 grudnia stworzył jej legendę. Do tego pamiętnego dnia zżerały nas gniew i zawiść, niszczyły egoizm i głupota, rozbiły wewnętrzne spory.

Słabość robotników rozczarowała Zbyszka. Ale ja czułem, że w obliczu zagrożenia i czołgów zrobiono wszystko, co było możliwe. Jak pokazały krwawe wydarzenia w Kopalni Węgla Kamiennego Wujek w Katowicach, komuniści bez względu na cenę byli gotowi złamać wszelki opór. Czynna obrona doprowadziłaby do bezsensownego rozlewu krwi. Nie chciałem się temu przyglądać ponownie. Na własne oczy widziałem drugą wojnę światową. W ciągu ostatnich dwóch stuleci przelano dość krwi. Bujak żałował, że Solidarność nie jest lepiej przygotowana do walki. Ja sądziłem, że komuniści są zbyt silni.

Najważniejsze dyskusje dotyczyły działalności podziemnej. Czerpiąc przykład z czasów okupacji, większość opozycjonistów wydawała się skłaniać ku idei państwa podziemnego. Byłem temu przeciwny. Czasy się zmieniły. Nie mieliśmy rządu na emigracji ani wojskowej struktury. W ciągu czterdziestu lat znaczna część społeczeństwa przywykła do władzy komunistycznej, żyła z nią w symbiozie, czerpała korzyści. Na tych fundamentach nie można budować podziemnego państwa.

Podziemne państwo, jak każda tego typu instytucja, musiałoby posiadać zcentralizowaną strukturę, co nie służyłoby propagowaniu zasad demokratycznych. Ponadto taki układ sprzyja infiltracji; łatwo go rozbić, eliminując najwyższe władze. Dodatkowo idea państwa nasuwa pojęcie machiny przymusu. Bałem się tego. Historycy nie piszą o brutalności i niesprawiedliwościach popełnianych w imię polskiego ruchu oporu. Poznałem tę prawdę, badając wojenną historię Międzyzlesia. Niejednokrotnie przeprowadzano tu pochopne i okrutne egzekucje na niewinnych ofiarach, omyłkowo oskarżając je o kolaborację z okupantem. Co gorsza, pod płaszczykiem zasad bezpieczeństwa, a nawet bez ozdabiania jakimiś pozorami, zdarzały się zwykłe morderstwa, których podłożem była chciwość i waśnie. Poznałem zbyt wiele takich przypadków.

Siłę Solidarności stanowił opór bez użycia przemocy. Co do tego byliśmy z Bujakiem zgodni. Idea państwa podziemnego była jednak popularna, a pomysł jego powtórzenia niezwykle chwytliwy. Zdawałem sobie sprawę, że zaprzeczenie tej koncepcji i jakiegokolwiek kontrargumenty na nic się nie zdadzą. Należało zaproponować coś podobnie sugestywnego. Tylko co? Decydujący był tu przymiotnik – podziemne. I skojarzenie z bohaterską przeszłością, i stosowność do nowej sytuacji. Zatem nie „państwo” podziemne, ale – co? Którejś z bezsensownych nocy pojawił się rzeczownik „społeczeństwo” – społeczeństwo podziemne! To brzmiało nieźle, miało pożądane konotacje i względny sens w sytuacji stanu wojennego. Miałem nadzieję, że to hasło umożliwi skuteczne przeciwstawienie się pomysłom rekonstrukcji podziemnego państwa. Chyba spełniło ono swoją rolę, choć później było niebezzasadnie krytykowane.

Trudno było przewidzieć przyszłość. Uważałem, że czas Solidarności dobiega kresu. Wszystko, co możemy zrobić – argumentowałem podczas tych ponurych dni – to robić, co do nas należy do samego końca. Na mój stan ducha rzutowała przeszłość oraz przekonanie o silnej pozycji Związku

Radzieckiego. Polska była przecież częścią sowieckiego imperium.

Bujak interesował się socjologią i naukami politycznymi, ale ja niewiele o tym wiedziałem. Mogłem mu co najwyżej opowiedzieć o Arystotelesie, Monteskiuszu, Johnie Stuarcie Millu. Dyskutowaliśmy o historii Polski XIX i XX wieku, o ludziach, którzy ją tworzyli, mówiliśmy także o biologii – o drzewach, lasach, ptakach i owadach. Unikaliśmy natomiast rozmów o rodzinach. Pewnego razu późnym popołudniem w telewizji zapowiedziano otwarcie szkół po Nowym Roku⁵. Grożono wydaleniem za niestawienie się do pracy. Pomyślałem, że mogę sadzić drzewa wcześniej, niż mi się wydawało! Martwiłem się o żonę, o to, jak zniesie moje zwolnienie z posady nauczyciela. Zajmowaliśmy służbowe mieszkanie, bałem się, że ją eksmitują.

Na święta Bożego Narodzenia mąż gospodyni wrócił do domu w okropnym stanie. Musieliśmy opuścić naszą kryjówkę. Mieliliśmy zaproszenie od księdza Józefa, ale nasza młoda przewodniczka ostrzegła nas, że plebania ze względu na nieustanną inwigilację nie jest już bezpiecznym miejscem. Bujak mimo wszystko zdecydował, że tam pójdziemy. Dziewczyna szła 50 metrów przed nami. Kiedy dotarliśmy na miejsce, zauważyła jakiś błysk. Natychmiast ściągnęła czapkę i przeszła na drugą stronę ulicy. To był sygnał do odwrotu. Gdy się spotkaliśmy, powiedziała, że w samochodzie na czatach siedzi czterech mężczyzn.

Bujak chciał wracać na plebanie bez względu na zagrożenie. Po godzinie byliśmy na miejscu. Podeszliśmy od tyłu w pobliże samochodu. Zauważyliśmy, że każdemu przejściu pieszego towarzyszy błysk reflektorów pojazdu. W końcu Bujak zrezygnował. Święta spędziliśmy w naszej drewnianej chacie. Nie było nam łatwo, do domu murowanego wchodziliśmy tylko nocą, aby skorzystać z łazienki. Gospodarza wówczas nie było lub leżał pijany.

Była chyba Wigilia, kiedy Ronald Reagan wygłosił przemówienie⁶. Choć jego wystąpienie wzbudziło wiele kontrowersji, nam dodało nieco otuchy. Amerykański prezydent postanowił narzucić Polsce sankcje ekonomiczne.

Tuż przed świętami dowiedzieliśmy się, że ktoś chce z nami omówić możliwość współpracy pozostałych na wolności członków władz Regionu Mazowsze. Wiedziałem, że bezpieczeństwo Bujaka jest ważniejsze niż moje. Trudno było go przekonać, by pozwolił mi iść samemu, ale w końcu przystał na to. Spotkanie zorganizowano w Gołąbkach w trakcie wieczornej mszy. Do zakrystii wszedł młody mężczyzna. Przedstawił się jako Mateusz Matuszewski. Było to pierwsze z wielu spotkań z tym jednym z najlepszych podziemnych działaczy, a moim późniejszym przyjacielem. (Mateusz zamierzał wstąpić do seminarium, ale po wprowadzeniu stanu wojennego odłożył tę decyzję na później. Ofiarował swoją pomoc Solidarności. Po czterech latach pracy w podziemiu zrealizował swój pierwotny zamiar i ostatecznie uzyskał święcenia). Wyjaśnił, że organizuje kwatery dla działaczy podziemia i szuka kontaktów z tymi, którym mógłby służyć pomocą. Zanim się rozstaliśmy, poprosiłem go o przekazanie listu mojemu ojcu.

Kiedy spotkanie dobiegało końca, spostrzegłem przy drzwiach młodą kobietą w czerni. Nie poznała mnie. To była Ewa Kulik, też poszukiwana listem gończym. Ewa zajęła się organizacją biura i kontaktami ze światem zewnętrznym, Mateusz – zakwaterowaniem, kontaktami wewnętrznymi i naszym bezpieczeństwem, Bujaka i moim (Zbyszek Janas miał swoją bazę, swoją sieć). Były cztery podstawowe rodzaje lokali konspiracyjnych: mieszkaniówki, spotkaniówki, „skrzynki” i miejsce wędrownego biura podziemnej Regionalnej Komisji Wykonawczej NSZZ Solidarność Mazowsze (którą to nazwę przyjęto jakiś czas później).

⁵ Wraz z wprowadzeniem stanu wojennego zarządzono ferie świąteczne w szkołach i na wyższych uczelniach; placówki te wróciły do pracy na mocy rozporządzenia ministra oświaty z 3 I 1982 (red.).

⁶ 23 grudnia prezydent Stanów Zjednoczonych ogłosił sankcje wobec Polski, a sześć dni później wobec ZSRR (red.).

Nasz powrót do Warszawy został zaplanowany na pierwsze robocze popołudnie po Nowym Roku. Wylądowałem na osiedlu Służew nad Dolinką, w nowych blokach. Rozdzieliliśmy się. Gdzie ulokowano dokładnie Bujaka, nie wiem. Najpierw byłem w mieszkaniu, którego właścicielka „konspirowała” przed nami – była przedwojenną ziemianką, samotną kobietą, pracowała w kiosku Ruchu, ale nie przyznawała się do tego, gdyż uważała to za ujmę. Potem zostałem stamtąd zabrany do innego bloku na tym samym osiedlu, gdzie z kolei sąsiedzi zaczęli podejrzewać coś po krótkim czasie: że się światło pali, ktoś przychodzi na pogaduszki... Też trzeba się było stamtąd wynosić. A tam właśnie z okna miałem widok wprost na cmentarz, na którego tyłach w latach powojennych grzebano w tajemnicy rozstrzelanych w więzieniu mokotowskim, gdzie więziony był m.in. mój ojciec.

* * *

Innej drogi nie mamy to tekst, który powstał z poczucia obowiązku, pod ciśnieniem wydarzeń. Pisałem go w Babicach po odejściu Zbyszka Janasa. Skoro mnie nie złapali, to muszę coś powiedzieć ludziom, którzy liczyli na Solidarność – uważałem. Oceniałem, że ludzie są bezradni, nie wiedzą, co robić. Tak samo jak ja nie wiedziałem. Byłem przekonany, że ta zabawa szybko się skończy, nasze dni są policzone, policja mnie złapie. Ale tego przecież nie mogłem im powiedzieć... Jestem nauczycielem i wiem, że ludzi trzeba czymś zając, żeby nie było nieszczęścia. Więc: bierny opór. Absolutnie nie wdawać się w żadne awantury, a jeśli robić, to coś, co dla nich jest najmniej groźne. Tekst jest wynikiem tego rodzaju rozumowania. Zawiera kilka elementów: podkreślenie wagi biernego oporu i wewnętrznej samoorganizacji społeczeństwa; wezwanie do opodatkowania się i stworzenia licznych nieformalnych kas samopomocy; rozbudowa Funduszu Samoobrony Społecz-

nej; tworzenie wydawnictw periodycznych, rozpowszechnianie informacji, znowu – głównie przez małe grupy. W sytuacji takiej, jaka jest, potrzeba działań niewielkich grup. Jest też jednak apel o „żałobę”, noszenie czarnych wstążek, opasek na ubraniach, co było później w dużym stopniu realizowane. To chyba najważniejsze rzeczy, które później zostały szeroko zaakceptowane.

Inny tekst, głośny dzięki swemu tytułowi zaczerpniętemu z Józefa Piłsudskiego: *Być zwyciężonym i nie ulec to zwycięstwo*⁷, dostaliśmy ze Zbyszkiem od Heleny Łuczywo, pocztą, już za pomocą tzw. sieci, tych „skrzynek” itd. Dostarczono go z krótkim pytaniem: czy można drukować? Bujak do mnie przysłał i pyta, co o tym myślę. Ja mówię: tekst merytorycznie w porządku, ale Piłsudskiego nie powinniśmy cytować, bo to jednak dyktatura, bądź co bądź, a my jesteśmy Solidarnością. No a już absolutnie nie nadaje się to szczeniackie zakończenie: „jeszcze pan nie wygrał tej wojny, generale”; to jest niepoważne. Jeśli nie będzie początku i zakończenia, sam tekst można drukować, nie mam nic przeciwko temu.

Z inicjatywy „Tygodnika Mazowsze” odbyła się narada z udziałem Bujaka i moim. Ustaliliśmy pewne warunki graniczne dotyczące roli „Tygodnika” jako głosu także i RKW Mazowsze. Z tego, iż „Tygodnik Mazowsze” jest związany z RKW, wynika, że to, co „Tygodnik” publikuje, nie może odbiegać od zasadniczej linii przyjętej przez RKW. Z drugiej zaś strony jednak my nie możemy decydować o tym, co się w nim ukaże. Nie ma mowy o cenzurze, ale muszą być uzgodnienia w sprawach zasadniczych.

Wkrótce wybuchła awantura związana z tekstem Jacka Kuronia, który miał być wydrukowany na pierwszej stronie pierwszego numeru „Tygodnika”, a nasze głosy – w następnych numerach. Myśmy się temu przeciwstawili, Bujak nawet zdecydowane weto postawił. Redakcja „Tygodnika” uznała to z ogromną niechęcią. Kuroń był tam nie

⁷ „Tygodnik Mazowsze”, 11 II 1982, nr 2.

tylko guru, ale i męczennikiem, jako że siedział w więzieniu. My zaś ośmieliliśmy się mu przeciwstawić. Odebrane to zostało fatalnie. Stanowisko Zbyszka przypisywano mojej namowie. Ostatecznie *Tezy o wyjściu z sytuacji bez wyjścia* Kuronia i nasze teksty polemiczne⁸ ukazały się w numerze 8 (z 31 marca 1982 r.), nie na pierwszej stronie, ale w jednorazowym, doraźnie stworzonym „dodatku publicystycznym”, jak sobie wymyślono w redakcji „Tygodnika”.

Tekst, który napisałem w polemice z Kuroniem, nie był przewidziany do publikacji. Uważałem, iż to są sprawy tak ważne, że to Zbyszek jako przewodniczący regionu powinien sam napisać. Dyskutowałem z nim. Ja jestem Malinowski, Kowalski – mówiłem. – Ty jesteś Bujak, przewodniczący regionu, wybrany nie przez zarząd, tylko w ogólnych wyborach, coś to znaczy. Następnego dnia on napisał: podaj mi tezy do tego, punkty główne, które uważasz, że powinny się tam znaleźć. Dobra. Napisałem swój szkic jako podkładkę dla Bujaka, żeby to wykorzystał w swoim tekście. A nazajutrz otrzymuję pocztę, w której Bujak pisze: ja tymczasem sam swój tekst napisałem i wysłałem oba do redakcji. Doszedł do wniosku, że one się nie pokrywają, więc powinny iść razem. I tak się te teksty ukazały.

* * *

Przed 13 grudnia udało się ukryć pieniądze Regionu Mazowsze. Pomógł nam ksiądz Jerzy Popiełuszko. Skarbnikiem regionu był Mirek Odorowski. To jest postać niedoceniana, a ja mam dla niego największe uznanie. Robotnik z Zakładów Wytwórczych Lamp Elektrycznych im. Róży Luksemburg, wspaniały, godny, prawy, szlachetny człowiek, daleki od wszelkich kombinacji. W dodatku niebywale rzetelny, a także urodzony konspirator.

Około 10 stycznia 1982 r. odbyło się wielogodzinne spotkanie czołowych działaczy warszawskiego podziemia Solidarności. Nie jestem już w stanie przypomnieć sobie, gdzie się ono odbyło. Uczestniczyli w nim Zbigniew i Zofia Romaszewscy, Bujak, Janas i ja, może ktoś jeszcze. Dogadano się z Romaszewskimi w sprawie uruchomienia Radia Solidarność⁹, przedyskutowano sprawę druku „Tygodnika Mazowsze”, ustalono bojkot prasy rządowej, gaszenie świateł trzynastego dnia każdego miesiąca. To spotkanie zapoczątkowało pewien ciąg kontrowersji między Romaszewskimi z jednej strony a Bujakiem i mną z drugiej. Pośredniczyć dość skutecznie czasem próbował Janas. U podstaw tych kontrowersji leżało zupełnie inne patrzanie na sprawę podziemia. Romaszewscy parli do akcji bezpośredniej, byli zwolennikami strajku powszechnego z czynną obroną zakładów pracy i z przygotowaniem się do tej czynnej obrony. Oczywiście to pociągało za sobą organizowanie w określony sposób łączności oraz struktur w zakładach pracy; jest inny cel, wymaga innych środków, innych sposobów działania. Natomiast patrzanie na podziemie jako na siłę stosującą opór bierny i bez użycia przemocy, czyli stawiającą na długotrwałe erodowanie systemu opresji bez jego gwałtownego obalenia, wymaga innych celów pośrednich i innych środków. To był konflikt zasadniczy. Kiedy ja przedstawiłem swój pogląd, Romaszewski nie wytrzymał i mnie ofuknął: – Bo ty jesteś zgnięty pozytywista. Wolność wymaga niekiedy podlania krwi. – To podlewaj ją swoją własną – odpowiedziałem wówczas.

Dalszy ciąg tego konfliktu nastąpił po dłuższym czasie, kiedy Romaszewski opracował projekt trzystopniowej struktury organizacyjnej regionu: Regionalna Komisja Wykonawcza, komitety międzyzakładowe i komisje zakładowe. Kontakt bezpośredniego między komisjami zakładowymi

⁸ *Walka pozycyjna* Zbigniewa Bujaka i *Trzecia możliwość* Wiktora Kulerskiego (red.).

⁹ Zofia i Zbigniew Romaszewscy organizowali je od lutego 1982. Pierwszą audycję nadano 12 IV 1982 (red.).

(czyli między załogami) a komisją regionalną nie przewidywał. Był kontakt tylko przez międzyzakładowe komisje w jedną stronę i w drugą. Ja od razu powiedziałem, że w takim modelu do RKW od zakładów i do załóg od RKW będzie docierało tylko to, co puszczą komisje międzyzakładowe, to zaś znaczy, że RKW stanie się ich bezwolnym zakładnikiem. Wypowiedziałem się zdecydowanie przeciwko temu. Mediować próbował Janas, ale w tej sprawie nie dało się zrobić nic pośredniego.

Romaszewski organizował MRKS¹⁰ i inne struktury międzyzakładowe – w takim celu, w jakim on to widział. Przyciągały one „pistolety”, ludzi akcji bezpośredniej. Jeden z takich „pistoletów” okazał się zresztą agentem-prowokatorem bezpieczeństwa. Sławomir Miastowski kilkakrotnie próbował spotkać się z Bujakiem. Zbyszek także naciskał, by to spotkanie zorganizować. Były komandos miał słabość do „pistoletów”. Ponieważ nie udało się zdobyć jakichkolwiek informacji o Miastowskim odnoszących się do czasu sprzed wprowadzenia stanu wojennego, staraliśmy się – Ewa Kulik, następnie z pomocą Mateusza Matuszewskiego, a wreszcie i moją – nie dopuścić do takiego spotkania, co się udało. Miastowski doprowadził do aresztowania Zbyszka Romaszewskiego i jego współpracowników oraz rozbitcia MRKS. W podziemiu kolportowane były potem ostrzeżenia przed nim, zawierające jego fotografię.

Konflikt ten miał (jak dzisiaj na to patrzę) także i zabawną stronę. Mianowicie Zofia Romaszewska, nie będąc członkiem władz regionu, zawsze ze Zbyszkim przychodziła na zebrania i była dość aktywna (aktywna to jest eufemizm). Kiedy

dochodziło do kontrowersji, do dyskusji między Romaszewskim a Bujakiem, mną czy Janasem, to Romaszewska mówiła: wszystko jedno, wy i tak powinniście nas słuchać, bo jesteśmy starsi, mamy doświadczenie korowskie. Sytuacje były niezręczne, wreszcie Bujak zażądał od Romaszewskiego, żeby przychodził sam: „Ty jesteś członkiem władz, nie Zosia”. No i tak się w końcu ułożyło.

Byłem przeciwnikiem tworzenia jakichś nowych związkowych władz podziemnych. Uważałem, że jeśli mamy przewodniczącego wybranego w wyborach powszechnych, demokratycznych, tajnych, to mamy prawowitą władzę regionu. Możemy jako kadłubowe prezydium zarządu go wspierać. Nie widziałem potrzeby tworzenia struktury samowładnej, za jaką zresztą uważałem także RKW. Poza tym bałem się tych struktur ze względu chociażby na stanowisko prezentowane przez Romaszewskich. Samowładną strukturę łatwo stworzyć, ona sobie zdobędzie jakieś uznanie, a gdzie zaprowadzi ludzi, to już kompletnie nie wiadomo. Dlatego m.in. przeciwstawiłem się idei Romaszewskich – państwa podziemnego. Oni obstawali przy tym. Ja mówię: państwo podziemne to są struktury także przemocy. Strajk powszechny jest czynną obroną zakładów pracy, czyli odwołaniem się do przemocy, i państwo podziemne do tego... I jeszcze to zdanie Romaszewskiego, że wolność wymaga krwi... Strasznie się tego bałem.

Pierwsze informacje czy teksty firmowane przez OKO¹¹, chyba jedną z pierwszych samowładnych struktur, które do nas dotarły, wzbudziły ogromną nieufność. Napisane prymitywnym językiem, takim, którym operowali komuniści, poza tym

¹⁰ Międzyzakładowy Robotniczy Komitet Solidarność, największa podziemna struktura na Mazowszu (tworzyli ją przedstawiciele 63 zakładów), powstał ostatecznie 24 IV 1982. Zorganizowany był pionowo, w systemie piątkowym. Liderem MRKS był Adam Borowski (red.).

¹¹ Ogólnopolski Komitet Oporu, utworzony w grudniu 1981, po zakończeniu strajków w Trójmieście, przez Andrzeja Konarskiego i Eugeniusza Szumiejkę – działaczy Solidarności z Wrocławia, którzy ukrywali się wówczas w Gdańsku. Apele OKO podpisywano pseudonimem „Mieszko”. Jego liderzy usiłowali zbudować strukturę podziemną, jednak rzeczywistą działalność jako krajowe kierownictwo podziemnej Solidarności rozpoczęła dopiero Tymczasowa Komisja Koordynacyjna, utworzona 22 IV 1982 na spotkaniu w Warszawie. W skład TTK wchodził: Zbigniew Bujak (reprezentował region Mazowsze), Bogdan Lis (region gdański), Władysław Frasyński (region dolnośląski), Władysław Hardek (region małopolski), Eugeniusz Szumiejko (jako członek Komisji Krajowej) (red.).

była to inicjatywa anonimowa. To po prostu cuchnęło na odległość. Kiedy Eugeniusz Szumiejko zjechał do Warszawy, chciał się spotkać z Bujakiem, to ja poszedłem na spotkanie z nim, by nie narażać Zbyszka na ryzyko. Szumiejko był wtedy w mundurze kolejarskim, ubrany dokładnie tak jak Bujak. Poszedłem ze stanowiskiem uzgodnionym z Bujakiem, które się sprowadzało do tego, że do niczego się nie zobowiązujemy, przyjmujemy propozycje do rozważenia. Bierzymy namiary na kontakty, ale nie dajemy swoich.

* * *

Działalnością charytatywną zajmował się w RKW Janas. W komisjach zakładowych wiadano, kto został internowany albo wyrzucony z pracy, czym rodzinom trzeba pomóc. Niezależnie od akcji kościelnej pomoc dla kolegów organizowano w komisjach zakładowych. Nie musiały one odprowadzać składek do regionu Mazowsze; całość składek wpływających od członków Solidarności była przeznaczona na działalność komisji zakładowych, a głównie na pomoc dla rodzin osób internowanych i dla wyrzuconych z pracy. Janas to koordynował; ustalał wytyczne, zbierał informacje. Wiele komisji zostało rozbitych albo się rozpadło, wiele nie było w stanie odnaleźć i obsłużyć wszystkich osób, które wymagały pomocy, w innych z kolei mogło być mało potrzebujących i należało przesunąć środki. Uświadomiliśmy sobie, że jako komisja regionalna nie jesteśmy w stanie wszystkiemu podołać. Nie chodziło o potrzeby finansowe, tylko o rozpoznanie i dotarcie do ludzi, zadbanie, żeby systematycznie otrzymywali pomoc. Okazało się, że siły RKW są zbyt szczupłe, mamy zbyt mało środków, a poza tym jest zbyt duże ryzyko prowadzenia tak szerokiej działalności w sposób zcentralizowany.

Ponieważ była już rozwinięta akcja prowadzona przez Kościół, a kierował nią biskup Władysław Miziołek – który poprzednio pracował w parafii w Międzylesiu, uczył mnie religii i ministrantury – chcieliśmy, by komisje zakładowe przekazywały Kościołowi swoje środki przeznaczone na pomoc charytatywną, a Kościół poprzez swoje struktury docierał do potrzebujących. Znałem biskupa Miziołka, zostałem więc do niego wydelegowany. Przyjął mnie na kolacji w swojej siedzibie przy ulicy Książęcej w Warszawie. Pytał mnie o rodzinę, o ojca, bo znali się dobrze. Przy okazji przedstawiłem tę sprawę. Od tego czasu RKW przestała się zajmować pomocą charytatywną. To mogło być zimą z 1982 na 1983 r.

Częste były dyskusje, w jakim stopniu wolno nam narażać ludzi. Na drugim miejscu było pytanie, jak ludzie odpowiedzą na nasze apele. No bo my formułujemy wezwanie do udziału np. w manifestacji – i potem co? Pałowanie tych ludzi? Wyrzucanie z pracy? W jakiej mierze później możemy im pomóc? Ludzie nam powiedzą: wam łatwo, siedzicie w podziemiu, wy nie pójdziecie, a my karki będziemy nadstawiali... To było przedłużenie kontrowersji z Romaszewskimi. Oni tych oporów nie mieli: idziemy na zwarcie, czynna obrona zakładów pracy, wolność wymaga podlewania krwią...

Wszelkie decyzje podejmowaliśmy z wielkim ciężarem odpowiedzialności i właściwie z wielkimi oporami, jakby wbrew sobie. Tak trzeba. Z drugiej strony – nie my za to płacimy...

Dopóki Romaszewski był w RKW, dopóki nie było wpadki MRKS i Radia Solidarność¹², dopóty prowadził kompletnie niezależną od RKW politykę, realizował swoje cele, a nie cele RKW. Więcej, byliśmy świadomi, że sabotuje RKW; robi wszystko, żeby kontakt między komisjami zakładowymi a RKW szedł pośrednio. Radio Solidarność, wchodzenie na wizję TVP – to wszystko były przygo-

¹² MRKS został rozbity przez SB latem 1982. 29 VIII 1982 aresztowano Zbigniewa Romaszewskiego, następnie sądzono go wraz z żoną i siedmioma współpracownikami w procesie Radia Solidarność i 17 II 1983 skazano na 4,5 roku więzienia (red.).

towania na ewentualność strajku generalnego. Jeszcze poważniejszy był narastający z czasem problem sprowadzający się do pytania: czy podziemie ma być zmonopolizowane przez jedną, hierarchiczną organizację, czyli NSZZ Solidarność, czy ma mieć charakter pluralistycznego, zdecentralizowanego ruchu społecznego, w którym Solidarność jest tylko jedną z wielu struktur, być może największą i najważniejszą, nawet pełniącą „przewodnią rolę”, ale nie jedyną organizacją podziemną. Region Mazowsze bronił drugiej z tych koncepcji, być może ze względu na znaczne zróżnicowanie wielorakich grup działających w podziemiu i nader ceniących sobie samodzielność i niezależność właśnie. Kierownictwa pozostałych regionów opowiadały się za pierwszym modelem, co doprowadziło do wydarzeń niemających precedensu w podziemiu i dotychczas mało znanych, a być może nawet chowanych wstydliwie.

Otóż wiosną 1985 r. Tymczasowa Komisja Koordynacyjna pod naciskiem Mazowsza zawarła umowę o współpracy z niezależnymi komitetami oświaty, kultury, nauki i zdrowia. Ale już jesienią tegoż roku nowojorski „Nowy Dziennik” opublikował oświadczenie TKK datowane na 4 października, które w istocie rzeczy było próbą odcięcia wszelkich niezależnych od związku struktur podziemnych od pomocy, jaką otrzymywały bezpośrednio z Zachodu. Oświadczenie to było fałszywką. TKK w rzeczywistości takiego oświadczenia nie wydała. Ale zarazem odmówiła zdementowania go, mimo że osobiście interweniowałem i tego się domagałem. Na domiar złego niektórzy z członków TKK obciążali Bujaka odpowiedzialnością za to, że w kraju fałszywkę z „Nowego Dziennika” przedrukował „Przegląd Wiadomości Agencyjnych”. Rzeczą nie do uwierzenia okazało się to, że tak szeroko kolportowane czasopismo jak „PWA” może działać poza kontrolą przewodniczącego regionu¹³.

* * *

Nie przypuszczałem i nie wierzyłem, że podziemie przetrwa tyle lat. Na przedwiośniu 1982 r. mieliśmy spotkanie z Andrzejem Stelmachowskim, Janem Olszewskim i Andrzejem Grabińskim. W przeciwieństwie do Bujaka byłem sceptyczny co do perspektyw czasowych naszej działalności. Kiedy powiedziałem, że schwytanie nas jest kwestią dni, może tygodni, Stelmachowski zaoponował. Zapytałem wówczas, ile nam daje czasu. Po chwili zastanowienia odparł: – No, parę miesięcy, może nawet kilka. Żartem później powiedziałem na którymś zebraniu RKW, że myślimy o tych różnych strukturach, akcjach, mieszkaniówkach, spotkaniówkach, a powinniśmy pomyśleć, jak by tu jakiś gustowny cmentarzyk w podziemiu zbudować. Bo możemy do śmierci tkwić w konspiracji. Bujak natomiast twierdził, że to się szybko przewali.

Między innymi dlatego te grupy specjalne, broń, uderzenia na manifestacje rządowe przygotowywał w głębokiej tajemnicy przede mną i wszystkimi innymi, bo wiedział, że napotka nasz opór. Mówiłem: Zbyszek, pomyśl, jedynym naszym atutem, który przynosi nam korzyść za granicą, jest to, że walczymy bez przemocy. Gdy się pojawi coś takiego, jesteśmy skończeni, już nie dostaniemy pomocy. Zdawał sobie z tego sprawę, a z drugiej strony jego serce komandosa... Przecież kiedy MRKS został rozwalony przez Służbę Bezpieczeństwa, Teoś Klincewicz właśnie organizował te grupy specjalne. O tym, że grupy specjalne dysponują jakąś bronią, dowiedziałem się z listu zawierającego wykaz i specyfikację jednostek broni znajdującej się w posiadaniu tych grup. List trafił do mnie zamiast do Zbyszka, w czasie kiedy on został pierwszy raz złapany przez milicję i uciekł (na początku 1983 r.), po czym przechodził okres kwarantanny. Planowano ataki na rządowe manifestacje z użyciem petard, dymnych świec i tym

¹³ Por. „Kultura” 1987, nr 4, s. 99–101 (red.).

podobnych rzeczy, choć oczywiście bez użycia broni palnej. Zagroziłem wówczas Zbyszkowi, że zrezygnuję i wycofam się z podziemia, jeśli nie zrobi z tym porządku. Obiecał, że zrobi.

Uważałem, że tak jak my działamy w podziemiu, tak na powierzchni działa Lech Wałęsa i wielu innych. Były to role różne, ale równie konieczne, uzupełniające się. Nie naszą sprawą jest myśleć o rozwiązaniach politycznych, kompromisowych, w przyszłości. Naszą sprawą jest wywierać nacisk, z którego skorzystają ci, co będą negocjować. Nie możemy się zamieniać rolami. Gdy były sygnały od strony rządowej, reżimowej, propozycje spotkań, porozumienia, Bujak mówił: od tego jest Wałęsa, nie my. Bo to mogło być granie na podziały wewnętrzne. My jesteśmy od tego, żeby robić podziemną robotę, która najbardziej uwiera reżim, koniec, kropka.

* * *

Pierwsze pieniądze z Zachodu przyszły nie wiem od kogo i o mało co nie zostały wyrzucone. Chyba wiosną 1982 r. dostałem paczkę z Zachodu, niedużą – przyrządy do golenia, m.in. spory plastikowy pojemnik kremu do golenia. Ponieważ używam maszynki elektrycznej, nie korzystałem z tego kremu. Nawet naciskałem na pojemnik, myślałem: i tak nie leci, chyba zepsute. Postawiłem na półeczce w łazience u gospodarzy, u których mieszkalem, bo pojemnik był bardzo ładny. Stało to ze dwa, trzy lata. Potem ta osoba, u której mieszkalem, została łączniczką, przychodzi kiedyś i mówi: – Wiesz, co znalazłam? Nie leciało nic z tego pojemnika, ale pomyślałam – rozkróję go. A tam zwinięte banknoty były.

„Zespół mieszkaniowy” zajmował się sprawami bytowymi – szukaniem mieszkań dla nas, na biuro, na spotkania i „skrzynki”, a także zaopatrzeniem. Kierował nim Mateusz Matuszewski. Rodzi-

nom, u których mieszkaliśmy, należało dostarczać żywność i inne artykuły pierwszej potrzeby, nawet coś z ubrania. Wtedy wszystko było na kartki. Trzeba było najpierw kartki zdobyć albo mieć znajomości w sklepach, żeby coś załatwić poza kartkami. Ludzie, którzy się tym zajmowali, mieli swoje zespoły; jedna osoba nie byłaby w stanie tylu mieszkań pozyskać. Wydzieleni byli łącznicy do kontaktów między biurem a nami, Zbyszkim a mną. Inni łącznicy obsługiwali „skrzynki”, zupełnie inni zajmowali się wynajdywaniem i pozyskiwaniem mieszkań na różne cele. Łącznicy, którzy kontaktowali się z nami i z biurem, prowadzili nas na spotkania i z powrotem.

Mateusz pracował z nami od grudnia 1981 r., aż stał się zbyt znany w Warszawie i musiał odejść. Tyle osób znał i tyle spraw załatwiał, że na rok czy na półtora przed końcem konspiracji zdecydowaliśmy się z niego zrezygnować. Zastąpił go pracownik Politechniki Warszawskiej Jacek Gutowski. Jego późniejsza żona, Krystyna, doktor filozofii, stworzyła i prowadziła biuro oraz całą sieć łączności OKN-a¹⁴. W 1982 r. przemieszkiwałem u niej. Któregoś dnia oświadczyła, że chce nie tylko od czasu do czasu służyć swoim mieszkaniem, ale czynnie pracować dla podziemia. Zazwyczaj w takich przypadkach starałem się uświadomić potencjalne zagrożenia, a ponieważ była samotną matką, to w przypadku uwięzienia należało się liczyć z umieszczeniem jej dziesięcioletniej córki Pyzy w domu dziecka. Niektóre osoby po takiej rozmowie rezygnowały. Krystyna zaś odparła, że decyzję przemyślała. W razie potrzeby jej bliska koleżanka zajmie się Pyzą, ta zaś również wie, co miałaby zrobić w takim przypadku. Zaimponowała mi. Z tak przygotowaną decyzją i determinacją spotkałem się po raz pierwszy. Jakiś czas potem Krystyna wróciła do domu zbyt późno po służbie dla podziemia i zastała mieszkanie puste. Nie było nie tylko Pyzy, ale także wszelkich przedmiotów

¹⁴ Oświata-Kultura-Nauka, konsorcjum, do którego należały: Zespół Oświaty Niezależnej, Komitet Kultury Niezależnej, Społeczny Komitet Nauki, Społeczny Komitet Zdrowia (red.).

związanych z Solidarnością – niezależnych wydawnictw, plakatów, opasek strajkowych, proporczyków, odznak okolicznościowych i pamiątkowych. Dziecko nie mogąc doczekać się powrotu matki, starannie wybierało całą nielegalszczyznę i wyniosło do sąsiadów, a samo udało się na drugi koniec miasta do mieszkania przyjaciółki matki.

Mieliśmy zasadę: dwa tygodnie w jednym mieszkaniu – i dalej, i dalej. Tak samo spotkania RKW robiło się w różnych miejscach. Dość długo – za długo – spotkania organizowano u Zbigniewa Lewickiego; nawiązały się więzi towarzyskie, nasi chłopcy zostawali tam do rana – i pili. To zresztą była przyczyna też moich nie najlepszych stosunków z kolegami. Gospodarze, u których mieszkalem, denerwowali się moją nieobecnością, dlatego starałem się najpóźniej o ósmej wychodzić ze spotkań, żeby w porę wrócić na kwaterę. No i oczywiście nie piłem.

Na tym spotkaniu u Lewickiego, po którym wpadli, w maju 1986 r. – a było to spotkanie o charakterze towarzyskim – byli Jacek Kuroń, Ewa Kulik, Konrad Bieliński, Janek Lityński, Zbyszek Bujak. Gdy nad ranem wychodzili, prawdopodobnie policja poszła za nimi jak po sznurku i ich wszystkich w mieszkaniach zdjęła¹⁵. Janka Lityńskiego nie zdjęła tylko dlatego, że nie mógł się dostać do swojego mieszkania i poszedł do innego, rezerwowego, do którego esbecy w końcu też trafili, ale on siedział w wannie i nie otworzył. Psim śwędem się uratował.

To był horror. Czekałem, kiedy esbecy przyjdą po mnie. Gdy się tylko dowiedziałem z radia, natychmiast przeniosłem się do mieszkania rezerwowego i całą noc przesiedziałem na balkonie, mając obok siebie ostatnią bieżącą pocztę, przygotowaną zapalniczkę i benzynę, żeby w razie czego te dokumenty spalić. Była ciepła, piękna noc na Ursynowie, latarnie się paliły. Z pobliskiego Lasu

Kabackiego przylatywały sowy. Gdyby próbowali wejść, to z balkonu bym najpierw ich zobaczył i zanim dostaliby się na piętro, to bym zdążył zlikwidować to, co trzeba.

* * *

Cała pomoc materiałowa i pieniądze na poligrafię przychodziły do TKK, a TKK dzieliła to na regiony. Ale w regionie też trzeba było to podzielić. Sprawami poligrafii Mazowska zajmował się Konrad Bieliński; musiał się orientować, jakie są potrzeby, a później rozdzielić pomoc poligraficzną i powielacze do poszczególnych wydawnictw, zakładów, komisji zakładowych, gdzie drukowano gazetki. A jeszcze zgłaszano zażalenia, bo jedno wydawnictwo drugiemu coś tam ukradło...

Region swoich publikacji sam nie wydawał. Oświadczenia i komunikaty RKW publikował „Tygodnik Mazowsze”. Na nasz użytek przygotowywano przeglądy prasy, radia czy telewizji – żebyśmy się orientowali w sytuacji. Wyciągi parostronicowe co kilka dni dostawaliśmy z zewnątrz.

Poruszaliśmy się po mieście autobusami, tramwajami lub taksówkami. Nie mieliśmy współpracowników wśród taksówkarzy, to byłoby zbyt niebezpieczne. Najbardziej eksponowane osoby – Ewa Kulik, Konrad Bieliński, Janek Lityński, Janas, Bujak, ja – nie jeździły w zasadzie samochodami prywatnymi.

Mam skoroszyt, który Bujak mi przekazał, gdy tylko wyszedł z aresztu, żebym schował, bo to „najbardziej tajna z tajnych rzeczy”. Tam są jakieś schematy, rysunki techniczne. Jego *idée fixe* było nawiązanie łączności satelitarnej z zagranicą. Takie urządzenia wykorzystywano na Zachodzie w wojskowości. Był taki zespół techniczny ludzi z politechniki, dość późno zorganizowany, który działał pod kryptonimem „Armenia”¹⁶. Zajmował

¹⁵ 31 V 1986 aresztowano Zbigniewa Bujaka, Ewę Kulik i Konrada Bielińskiego. Postawiono im zarzuty prokuratorskie, jednak do procesu nie doszło. Wypuszczono ich z więzienia na podstawie amnestii we wrześniu 1986 (red.).

¹⁶ Powstał w końcu 1982 r., kierował nim Wojciech Stawiszyński. W 1983 r. przejął kierowanie Radiem Solidarność (red.).

się konstruowaniem sprzętu dla Radia Solidarność, rozrzucaniem ulotek, a także próbami realizacji pomysłów Zbyszka. Pamiętam świetną rzecz, którą oni zrobili. Otrzymywaliśmy radiotelefony marki Kenwood, spore, ale mieszczące się w kieszeni, które nadawały się do podsłuchiwania Służby Bezpieczeństwa. Nastawiały się samoczynnie, gdy na jakichś falach szła wiadomość, to się zatrzymywały. W pewnym momencie SB się zorientowała i przesunęła swoje fale poza zakres tych urządzeń. Więc nasi naukowcy opracowali przystawkę, mniejszą od pudełka zapatek; przyłączało się ją do kenwooda i aparat miał już pełen zakres fal. Ratowało nas to w wielu sytuacjach. To było dramatyczne, kiedy podczas akcji SB słyszeliśmy, co oni nadają, i nic nie mogliśmy zrobić. Esbecy się później kapnęli, że coś takiego mamy, i operacje pochwylenia ludzi robili w ciszy.

Posługiwałem się dokumentami Bogdana Kosińskiego, reżysera, z jego zdjęciem, byliśmy dosyć podobni. Używaliśmy czyichś dokumentów, a nie produkowaliśmy ich. Tego tak dużo nie było potrzebne, tylko parę osób się ukrywało.

Mateusz, który stworzył sieć mieszkań i zaopatrzenia, wcześniej działał przez szereg lat w organizacjach parakościelnych – oazy, neokatechumenat itd. Swoją sieć stworzył dzięki ludziom z tych organizacji. Opierało się to na zaufaniu, na kontaktach nieformalnych. I to się sprawdziło. Mieliśmy koleżeński kontrwywiad. Na jedno z zebrań RKW wpada Mateusz: – Musicie się rozejść. Okazuje się, że sympatią jednej z łączniczek został chłopak według wszelkiego prawdopodobieństwa związany z bezpieczeńką. Sygnał poszedł, zebranie zostało przerwane, rozjechaliśmy się do mieszkań rezerwowych, mieliśmy chyba dwa tygodnie kwarantanny. Łączniczka dostawała pozorowane zadania, żeby się nie zorientowała, i powoli zosta-

ła „odcięta”. Kiedy się sprawdziło, że zaraza nie poszła dalej, to się z tych ludzi później ponownie korzystało.

Między innymi „Armenia” przygotowywała zjazd podziemnej Solidarności, który miał się odbyć na początku lipca 1986 r. Byłem temu pomysłowi przeciwny i gdy Zbyszek został aresztowany, odwołałem zjazd, o co – jak mi doniesiono – miał pretensje. Służba Bezpieczeństwa znalazła dokumenty tego przygotowywanego zjazdu, kryptonim „Grobla”, u Ewy Kulik w biurze. Na szczęście do niego nie dopuściłem. To było takie propagandowe zadęcie, żeby powiedzieć: odbył się zjazd podziemnej Solidarności. Przewidywano 60, 80 osób. Mieli to być delegaci podziemnych struktur, a nie ci z 1981 r. Uważałem to za zbyt niebezpieczne.

* * *

To było po śmierci sierżanta Karosa¹⁷. Zima, zimno, nieprzyjemnie. Mieszkałem u Ewy i Jacka Kolipińskich, na parterze w bloku, ulica Anieli Krzywoń, na Jelonkach. W odległości stu metrów był wykop z torami kolejowymi, między nim a osiedlem bardzo długi skwer, a z drugiej strony osiedla ulica, na której odbywała się oblawa we wszystkich blokach. Milicjanci wchodzili na piętra, do każdego mieszkania. Synek gospodarzy wyszedł do szkoły o wpół do ósmej, zaraz wrócił i mówi, co się dzieje. Gospodarz zdecydował, że musimy opuścić mieszkanie; matka, dwoje dzieci, niebezpiecznie. Wiedziałem, że to nie ma sensu, bo na ulicy zatrzymują autobusy i wszystkich legitymują. Szukali zabójców Karosa. Przy okazji bimbrownię gdzieś wykryli, wynosili sprzęt. Myślę tak: nie mogę zostać, nie chcę iść z tym gospodarzem na ulicę, a on oczywiście mnie nie wypuści samego, bo mu niezręcznie. Mieli wielkiego psa, żółtej maści.

¹⁷ 18 II 1982 w Warszawie w tramwaju podczas próby rozbrojenia został postrzelony milicjant Zdzisław Karos, po kilku dniach zmarł. Na początku marca ujęto osoby związane z tym wydarzeniem, w sierpniu 1982 toczył się ich proces. Zapadły najsurowsze w stanie wojennym w regionie wyroki, m.in. Robert Chechłacz został skazany na 25 lat więzienia, Tomasz Łupanow na 13 lat, Stanisław Matejczuk na 6. Sprawa została wykorzystana propagandowo przez władze do oskarżeń Solidarności o terroryzm (T. Ruzikowski, *Stan wojenny w Warszawie...*, s. 244–245) (red.).

Wziąłem na smycz tego psa – i na spacer. Wpół do ósmej, zima, niby jasno, ale niebo zachmurzone. Obława się skończyła grubo po zmroku, o siódmej lub ósmej wieczorem. Ja cały czas na mrozie, w śniegu, z tym psem spacerowałem. Gdy szliśmy w kierunku domu, to pies rwał do przodu, a gdy mijaliśmy blok, dom za nami zostawał, ciągnął do tyłu. Musiałem go krótko trzymać. Ręka mnie bolała, zmieniałem, żeby nie było widać, że się z nim szarpie. Ciężka, fizyczna praca... Mimo mrozu byłem mokry od potu. Inni wychodzili z pieskami na piętnaście minut i wracali, potem drugi czy trze-

ci raz wychodzili, a ja ciągle spaceruję. Zwrócili na to uwagę zomowcy. Patrzyli, machali rękoma, ja też zamachałem, a jak schodzili wieczorem do samochodów, to gwizdali do mnie, wołali, że już koniec, fajrant. Byłem w zielonej kurcie i ze skórzaną torbą na ramieniu, chyba mnie wzięli za swojego, że odcinam drogę ucieczki z bloków do wykopu kolejowego. Później, gdy wchodziłem do pokoju, pies chował się pod łóżko. Ja też byłem wykończony.

Rozmawiał Andrzej Friszke